

Z muzyki.

Przez kilka ubiegłych tygodni nie pomieścili „Now. Ilustrowane” wzmianki o muzyce w Krakowie. Powodem do tego brak świeżego materiału. Popisywali się wprawdzie w tym czasie tacy skrzypkowie jak Burmester i Ysaye i pianiści tacy jak Friedmann i Szalitówna, lecz o artystach tych pisaliśmy już kilkakrotnie, podając ich podobizny, wartość tedy artystyczna tych książąt wirtuozeryi współczesnej jest znana Czytelnikom. Grał jeszcze w owym czasie pianista Eugeniusz d'Albert, jeden z największych i najwyżej cenionych dziś w Niemczech, lecz ani gra jego, ani artyzm nie przypadły do gustu melomanom krakowskim — a poirytowani byli wykonaniem utworów Chopina, którego d'Albert nie odczuwa i nie rozumie. Była to niemiła niespodzianka dla nielicznie zebranej publiczności, która w znacznej części opuściła salę koncertową przed ukończeniem programu.

Miłą natomiast niespodzianką był koncert urządzony staraniem Tow. Szkoły ludowej, koncert pianistki p. Wandy Tybergowej, artystki cieszącej się uznaniem i sympatją w sferach muzycznych Wiednia, gdzie rodaczka ta nasza, wraz z mężem swym, wybitnym skrzypkiem, od lat kilkunastu zajmuje poważne stanowisko — oraz młodego, wysoce utalentowanego wiolonczelisty opery wiedeńskiej p. Willema Willeke. Oba nazwiska nie ciągnęły krakowskich melomanów, jako mało znane w Krakowie, gdzie melomani wskutek braku informacji w pismach codziennych, jak niemniej wskutek braku pisma muzycznego, nie wiele wiedzą i interesują się tem, co się dzieje poza rogatkami Krakowa, a komunikatem obliczonym na łatwościorność czytelników przeważnie słusznie nie ufają. Garstka tych słuchaczy, którzy



Willem Willeke.

radzi słuchać dobrej muzyki, a nie tylko usłyszeć i zobaczyć artystę, była mile zadowolona, przekonawszy się, iż p. Wanda Tyberg jest pianistką niepospolitą, godną stanąć w rzędzie najwybitniejszych pianistek współczesnych — artystką rozporządzającą zarówno siłą jak i miękkością i pieściwością uderzenia, zarówno muzykalnością, jak umuzykalnieniem, zarówno doskonałą, równą i pewną techniką, jak pełnem artystycznej kultury ujęciem utworów — słowem. artystką, którą słuchało się z prawdziwą satysfakcją i pożytkiem. P. Willem Willeke (oto jego portret) wiolonczelista, przedstawił się również jak najsympatyczniej. Artysta młody, wysoce uzdolniony i poważny, wypowiada się jasno i zrozumiale. Daleki od szukania efektów niewchodzących w zakres swego instrumentu, ujmując pięknym, aksamitnym tonem swej wiolonczeli o charakterystycznym, cichym dźwięku starych wiolonczel włoskich, tonem, który acz cichy i niepełny, brzmi rozlewnie w sali, pieszcząc lubym dźwiękiem słodkiego pianissima. P. Willeke wywarł bardzo korzystne wrażenie i za utwory, które odtwarzał z wielką muzykalnością i zrozumieniem, przy życiu dobrze ustawionej a ze smakiem używanej, niezawodnej i doskonałej techniki — zbierał huragany oklasków. P. Willeke, Holender rodem (urodzony 29/9 1878 w St. Gravenhage) kształcił się u znakomitego wiolonczelisty-pedagoga prof. Eberlego w konserwatorium rotterdamskiem. Koncertując od lat 13 w Europie, zdobywał wszędzie aplauz publiczności i nader pochlebnie o jego kunście świadczące, oceny krytyczne. Od lat czterech zajmuje stanowisko pierwszego wiolonczelisty opery w Wiedniu, którego arystarchowie krytyki nie szczędzą mu nigdy słów uznania.

—urs.—

Z lwowskiego bruku.

(Kompromitacja władz sądowych a ruska głodówka. — Tryumf magistratu lwowskiego. — Zaczepki opozycjonistów a obrona r. Mokrzyckiego. — Nudy w Sejmie. — Elegancki złodziej-symbolista w stroju myśliwca. — Nasza wyższość złodziejska. — Złodziej pomaga szukać. — Bolesna niespodzianka: wyjazd Wandy Siemaszkowej.)

Ruscy akademicy przy pomocy strejku głodowego odnieśli zwycięstwo nad wszystkimi instancjami sądu lwowskiego, a wypościwszy się przez trzy dni, wyszli z więzienia witani okrzykami i kwiatami. Cała ubiegła niedziela była jedną wielką demonstracją ruską, a zarazem dziełem ten był, zdaniem dzienników — dniem niesłychanej kompromitacyi lwowskiego sądownictwa, skandalem o europejskim rozgłosie.

Jeżeli jednak sąd lwowski w sprawie akademików ruskich skompromitował się gruntownie, to inna władza odniosła w tym tygodniu tryumf prawdziwy. Mówię o lwowskim magistracie. Próbowali dwaj radni z opozycji dr. Aschkenase i redaktor Łaskownicki przy sposobności omawiania budżetu targnąć się na dotychczasową gospodarkę magistratu, krytykując prezydium i jego rządy. Nie podobała im się drożyzna powszechna, ani wieczne brudy miasta, ani pogrzebany zakład pogrzebowy miejski i pogrzebanie innych spraw — słowem, czepiali się p. prezydenta, nazywając całą akcję magistratu — humbugiem. Na to ni stąd ni zowąd powstał p. radny Mokrzycki, z zawodu rzeźnik, ale mowca i humorysta omal, że nie europejskiej sławy i zażądał głosu dla „sprostowania faktu”. Proszono go. aby dał spokój, ale uparł się, że musi jakiś fakt sprostować, a że wiadano, iż już p. Mokrzycki nie podaruje swego i musi się wywnętrzyć, skoro raz głosu zażądał, pozwolono mu mówić. Wyrzwał więc p. Mokrzycki mowę krótką, ale dosadną, rozbawił całą Radę, czem oczywiście pozyskał wszystkich na swoją stronę. Podniósł w swej mowie, że bardzo dobrze się stało, iż we Lwowie nie założono jatek miejskich, bo np. we Wiedniu, gdzie takie jatki istnieją, powodzi im się tak źle, że aż sam burmistrz dr. Lueger rozchorował się ze zmartwienia, a może nawet umrze. Radni ryczeli.

Gdy jeszcze p. Mokrzycki odparł zarzut uczyniony „kasie mięsnej” twierdząc, że jest ona bar-

dzo dobrą, bo „daje rzeźnikom dużo pomocy”, wesółość doszła do zenitu i radni opuścili bezzwłocznie salę, trzymając się za brzuchy. Ma się rozumieć, że tryumf magistratu był po tej mowie zupełny.

Mniej tryumfu jest do zanotowania ze Sejmu, gdzie panną niesłychanie nudy, bo nie odzywa się ks. Stojalowski, a nawet prawie nie widać go na sali. Nudne czytanie wniosków, nudne uzasadnienie, nudne głosowanie — więc nic dziwnego, że jakaś dama w łóżu zemdliała z powodu nudów i — zbyt ciasnej sznurówki. Zapowiadają się jednak interesujące sceny na później i zdaje się, że posłowie już ostrzą sobie języki. Na razie tylko w bufecie.

Wogóle panują w mieście wielkie nudy pokarnawowe, a gdyby nie kilka niby-sensacyjnych faktów, możnaby z nudów umrzeć. Do tych należy wspomniana na początku sprawa ruska i wynoszenie niechęcych opuścić więzienia akademików, a wreszcie elegancka, czy wykwiutna kradzież 18.000 koron w papierach wartościowych na pocztę.

Już kilkakrotnie pisałem, że jeżeli w której dziedzinie zasługujemy na nazwę stołecznego miasta, to przedewszystkiem w dziedzinie kunsztu złodziejskiego. Nasi złodzieje, to ludzie myślący, to dyplomaci, odznaczający się niezwykłą elegancją, a nawet dystynkcyą i gardzą środkami prostymi. U nas wyszły już nawet z mody wytrychy. Dowodem tej elegancyi złodziejskiej jest ostatnia kradzież na pocztę. Wchodzi sobie jakiś młody pan, nawet nie przebrany za kapitana, ale w stroju o wiele odpowiedniejszym, bo myśliwskim. Jest to pomysł na wagę złota. Na polowanie idzie się w stroju myśliwskim. W tem dowód, że nasi złodzieje są symbolistami. Wchodzi i mówi, że pragnie się widzieć z jakimś panem Łozińskim. Woźny idzie patrzeć, czy jest p. Łoziński i wraca z oznajmieniem, że go niema. I już. Myśliwiec mówi „niestety” i odchodzi. On już upolował swoje bez wytrychu, bez włamania, bez latarki. W biały dzień wszedł, wyekspedował woźnego, podważył nożyczkami „blat” biurka, wyjął papiery i poszedł. Jeszcze mu woźny drzwi otworzył. Proszę mi powiedzieć, czy to nie jest szczyt elegancyi złodziejskiej? Na punkcie złodziei jesteśmy stanowczo wielkim miastem. Nasi złodzieje mają nie tylko spryt w kradzieży, ale i po kradzieży. Zło-

dzieja z Banku krajowego dotychczas nie znamy. Policja robiła rozpaczliwe wysiłki i miała już stu podejrzanych, ale tylko sam złodziej dotąd nie jest w podejrzeniu. Już stracił zdobyte pieniądze i rozgląda się za innemi. Tak samo będzie prawdopodobnie z tym pocztowym myśliwym. On teraz pomaga szukać policji złodzieja. Wobec tego można być pewnym, że doniesienia dzienników, że „już są na tropie złodzieja” nie są wcale mylne. Jeden z szukających zna złodzieja. Mianowicie sam złodziej. Ale on go nie wyda.

Z nowin teatralnych mam do zaznaczenia „zakończenie występów Wandy Siemaszkowej w teatrze miejskim” — jak powiada komunikat teatru ludowego — i „rozpoczęcie gościnnych występów na scenie teatru ludowego w większych miastach prowincjonalnych”. Otóż ta bolesna nowina jest prawdziwą niespodzianką dla całej falangi gorących wielbicieli niezrównanej heroiny naszego teatru. Nigdy nie słyszeliśmy, żeby p. Siemaszkowa była u nas obecnie tylko na występach. Była bowiem stale zaangażowaną i jako taka była dumą i chlubą lwowskiego teatru. Widywało się ją na scenie dość rzadko, ale miało się nadzieję, że wkrótce repertuar tak się ułoży, że można będzie podziwiać wielką artystkę częściej.

Tymczasem słyszymy o „ukończeniu występów”. Nie miałem jeszcze czasu sprawdzić, czy p. Siemaszkowa istotnie usunęła się ze sceny lwowskiej, czy też tylko przerywa na czas krótki swój pobyt. Jeżeliby jednak prawdą było, że p. Siemaszkowa opuszcza na stałe lwowską scenę, to będzie to dla publiczności lwowskiej bardzo bolesną nowiną. Tyle mówiono i pisano o tem, że należy koniecznie pozyskać znakomitą, największą dziś aktorke polską dla sceny lwowskiej na stałe, a gdy to się nareszcie udało...

Nie chcemy nawet przypuszczać, żeby sprytny dyrektor, umiający cenić swoje klejnoty, mógł dopuścić do czegoś podobnego i wyrażamy nadzieję, że „szalona Julka” po krótkiej wędrowce prowincjonalnej powróci do Lwowa witana, jak zawsze, z zachwytem, z należnym jej entuzjazmem miłośników wielkiej, prawdziwej sztuki... Co oby nastąpiło jak najrychlej!

O włoskiej operze dziecięcej, która we czwartek rozpoczyna tu swój cykl pięciu oper, napiszę w najbliższym liście.

Kl.